

Od autora: kolejna część mojej prawdziwej historii

Mój zachwyt nad światem zanikł wiele miesięcy temu, w nieznanym mi okolicznościach. Miesiące zimy mieszały się ze sobą, tak jak wszystkie uprzednie lata, tworząc ciąg zdarzeń nie do odtworzenia. Dokładnie pamiętam jednak tę beznadzieję, wpadającą wraz z porannym słońcem, które zwiastowało nowy, niczym nieróżniący się od innych dzień. Słońce miało smak kaca, księżyc bywał ulgą. W blasku tego drugiego wędrowałem ku swojej aptece, by zażyć cokolwiek i jakoś usnąć, doczekać słońca, które zawsze miało ten sam smak.

Czarna rozpacz pukała do mojej głowy, coraz mocniej i częściej, usiłując wylać się całą sobą we mnie, a ja stawiałem opór. Jeden dzień, drugi tydzień, a może trzeci miesiąc — nie pamiętam, ale pamiętam jej głos, a „czarna rozpacz” ma głos męski i stanowczy. Przemówiła pewnego ranka, gdy słońce smakowało wyjątkowo obrzydliwie, przemówiła tuż po przebudzeniu. Najpierw cicho, tak, że nie byłem pewny czy obok ktoś stoi, a potem już głośniejszym głosem, tak, że wlała się we mnie. Wiedziałem doskonale, że mówi do mnie z odległości zbyt bliskiej, by mógł to mówić ktoś obok.

Najpierw zaszeptała „ej”. To była ona, a głos był jej miły i przyjemny. Potem powiedziała, głosem już wrogim, męskim i niskim: „zabij się”.

Wczoraj wylem, długo wylem, dobrych parę godzin, bardzo złych godzin, wylem i się zwijałem, wczoraj jej jeszcze nie było, na pewno jej nie było, myśli moje przeplatały rodzaje samobójstwa, a czarna rozpacz tylko wgniatała moją głowę w łóżko i dociskała moimi rękoma mocniej i mocniej, uciskając czaszkę tak, by wreszcie coś się z niej wykluło i nic się nie wykluwało, ale nie mówiła nic, wczoraj nie mówiła jeszcze do mnie, ja tylko wylem, płakałem i zwijałem się, z kocykiem się zwijałem, nogami przewracałem butelki, te butelki przy łóżku, a one upadały i brzdękały, brzęczały na cały świat, a ja wylem głośniejszym głosem. I jakoś usnąłem, jakoś widocznie w trakcie tego snu, wpuściłem najgorszą część zła. Zło do swojej głowy wpuściłem, nie chciałem, a weszło, wlało, wpęzło i huczało i szeptało we mnie. Wiedziałem, że mnie będzie przekonywać, a ja jestem podatny posłuchać, bo czułem się słaby, bardzo słaby i wiedziałem, że jak zostanę w domu, to mnie zje, żeżre całego, połknie w swoją nicość, zadusi mnie, zbombarduje słowami, więc ubrałem się, a ona mówiła, a ja ubrałem się z nią, a ona nie chciała bym się ubierał i „zabij się” powtarzała. I wyszedłem przed siebie, i szedłem między domami pustymi, domami bez charakteru, między domami wymarzonymi i znajomymi, i dotarłem i kupiłem, jak zawsze kupowałem, i wypilem, tak jak piłem zawsze, a ona nie zamilkła. Miała zamilknąć na zawsze, a to nic nie dało, nie pomogła setka, która pomagała zawsze, ale nie na głosy pomagała, tylko na kace. Przecież to głos, a nie kac, pierwszy raz słyszę i nie wiem co pomaga - wódka nie pomaga. Więc postanowiłem nie pić już. I „zabij się”, i kazała patrzeć mi, na przejeżdżające ciężarówki, pędzące ciężarówki, jak stałem na przystanku, z ludźmi innymi, normalnymi. I kazała zawrócić, a ja wiedziałem, że chce źle dla mnie i ja nie mogę, chociaż chciałem uciec od zagrożeń, od ciężarówek, od świateł czerwonych, to nie robiłem tego, bo i ona chciała tego samego. I „zabij się” mówiła, pokazując mi wieżowce, wysokie wieżowce, wczoraj myślałem o nich, jak myślałem o śmierci, a dziś ona mi je pokazuje i dusi od środka, i w autobusie mi kazała wychodzić, i z mostu nad Wisłą skoczyć, i mówiła „wyjdź z autobusu”. Nie wiem, gdzie byli wtedy ludzie obok, czy byli ludzie obok. Jej głos wcale mnie nie zaskakiwał, czułem, że musiała kiedyś przemówić i mówiła: „jesteś do niczego”, a ja trzymałem się rurki w autobusie, bojąc się siebie, że wyjdę zaraz, że puszcze rurkę, że wyskoczę, że posłucham, nie bałem się jej - ona była naturalna w tym wszystkim i pokazywała mi pociągi pędzące, wieżowce, wiadukty. I widziałem śmierć wszędzie, to ona mi ją pokazywała, mówiła „zabij się, jesteś niczym” i pokazywała możliwości śmierci, tak jak dzieła sztuki na wystawie, jak reklamy przed filmem, jak ja wczoraj wymyślałem sobie śmierć, a dziś realnie ją widzę, gdzie powiesić się można, pod co rzucić i skąd skoczyć. „Śmieciu, nawet zabić się nie umiesz” szeptała, głosem demonicznym czasem, a czasem przemiłym nadal męskim, powtarzała „zdychaj i tak zdechniesz”. A ja jechałem do pracy, a w pracy płakałem, a ona mówiła, pracowałem, a ja nie byłem już pijany, a ona mówiła. Zacząłem z nią co krok powtarzać na głos, „zabij się”, ale potem pomyślałem, co ja gadam, jeszcze się zmieni, jeszcze dobrze będzie, a ona mówiła „umrzesz” i krótko mówiła, mądra istota to była, bo wiedziała co mówić i próbowała, i do wieczora późnego, mówiła i nie wiem jak odeszła, kładła się ze mną jeszcze i wstać kazała, i jeszcze raz „zabij się”, a ja już sił nie miałem i było mi wszystko jedno. Poduszka chłonęła pot, dreszcze przelatywały przez skórę, księżyc zawiesił się na szybkach pustych butelek, przewróconych butelek, czaszka pulsowała, zegar uderzył w sekundę, sekunda uderzyła w drugą, druga w kolejną...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JaDziekuje, dodano 28.11.2017 09:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.